

3+2 niech żyje Staszek Motyka!

Czy stałem się typem sportowca, od którego tak usilnie trzymałem się dotychczas z daleka? Czy to niezdrowe ambicje, swoista cyfryzacja (czyli gonitwa za wyższą cyfrą pokonywanych dróg), czy może pragnienie rekordu, przyciągnęły mnie tego dnia w Tatry?

Był już wieczór. Zmrok powoli obejmował szczyty, zostawiając tylko ich zarys na tle nieco jaśniejszego nieba. Zbliżaliśmy się z Pawłem do Zbójnickiej Chaty, spragnieni zrzucenia z pleców uciążliwego ciężaru wypchanych plecaków. Szliśmy szybko, za szybko jak na to co nas czekało następnego dnia. Ale uciekaliśmy przed ciężarem tych worów i przed nocą, która już nas dotykała. Wiał wiatr, momentami mocny, kilka chmur przybrało kształt potworów, aura robiła się ponura, wroga, posępna. W schronisku było niewiele osób. Niemrawość i nijakość z jaką trwali przy pustych stołach, wzmacniała tylko nastrój panujący na zewnątrz.

Siedzieliśmy z Pawłem, tak samo przyduszeni jak tamci, jak szczyty przysypane nocą. Nie mówiliśmy za wiele o tym co mamy robić. Wszystko było już dawno przemyślane i ustalone. Popatrzyliśmy na schematy dróg które chcieliśmy zrobić, skorygowaliśmy ewentualne miejsca zapychowe i chcieliśmy żeby się już zaczął kolejny dzień. Nie wiem czy to te nasze plecaki tak nas przygniotły, czy noc i atmosfera schronu, ale sprawialiśmy wrażenie jakbyśmy zupełnie nie mieli ochoty na to czego się podjęliśmy. Kiedy Paweł zaproponował żeby zacząć się wspinać o siódmej, przyjąłem to z radością obietnicy dłuższego snu, zupełnie ignorując możliwość braku czasu na przejście pięciu z planowanych dróg.

Dłuższy sen okazał się jeszcze krótszy, niż gdybyśmy wstali o czwartej zamiast o piątej trzydzieści. Całą noc odbywało się naprzemienne chrapanie kilku dławionych powietrzem śpiochów. Ale nie był to zaden z nas – niestety. Zwlekliśmy się z materacy, zmęczeni, źli i niewyspani. Tym mniej mieliśmy ochoty na omawianie planu działania, tuż przed wcieleniem go w życie. Szliśmy lekko osowiali, milczący, zbici z tropu przepiękną pogodą, słońcem wysoko po szczytach biegającym. A przecież spodziewaliśmy się nieprzyjemnego zimna porannego, mgły zatęchłej, tymczasem góry już dawno wstały i śmiały się z naszego malkontentstwa. Paweł jeszcze bardziej wbił się w ponurość, zły na siebie za pomysł późniejszego wstawania, z wizją straconej bezpowrotnie godziny, której niechybnie nam braknie w najbardziej potrzebnym momencie.

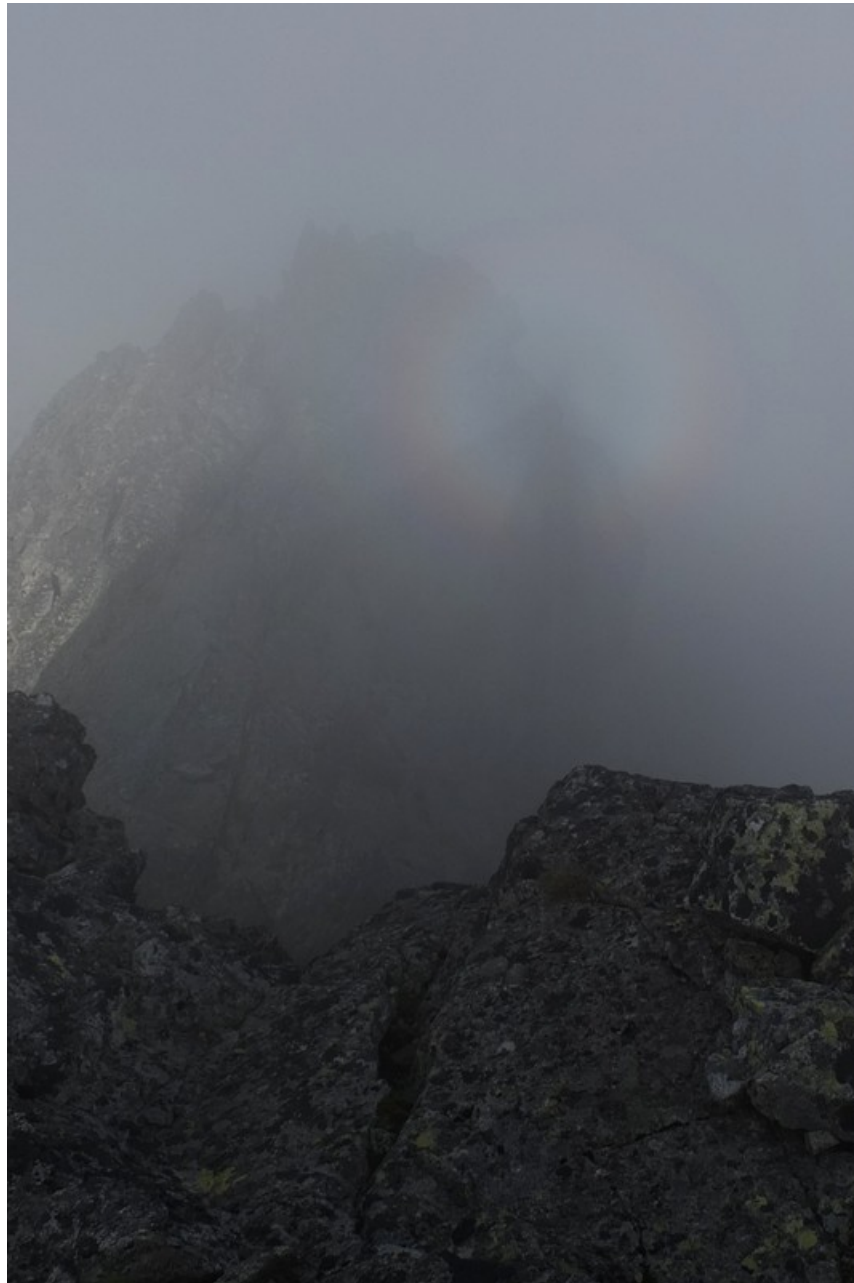


Mnie było jeszcze stać na robienie zdjęć, o których Paweł nawet nie chciał słyszeć, jako o czymś co zabierze nam czas i rzuci się cieniem na całe przedsięwzięcie. Dzień mnie nastroił optymistycznie, było pięknie, chciałem się tym sycić. Nie myślałem zupełnie o tym czy nam się, uda czy nie, czy damy radę przejść dzisiaj pięć dróg Motyki, czy też braknie nam dnia albo sił. Chyba oboje z Pawłem wiedzieliśmy co mamy robić i byliśmy nastawieni na wspinanie do samego końca – dnia albo nas samych. Właściwie to co było najpotrzebniejsze, mieliśmy – psychiczną determinację. Tuż pod Siwym Stawem napełniliśmy butle wodą (po trzy litry na głowę), rozpuściwszy w nich magiczne tabletki z multiwitaminy. Ta czynność, ta niebotyczna ilość wody jaką dźwigałem, uświadomiła mi jak mamy spędzić ten dzień.



Parę minut po 7 zaczynam prowadzić pierwszy wyciąg na południowej ścianie Ostrego. Słońce już grzeje płyty i dłonie, ale w zagłębieniach i zacięciach czuć jeszcze wilgoć. W miejscu na stanowisko, za długo myślę – dokąd mi starczy liny. Paweł rozwiewa wątpliwości, przynagla do decyzji, robię stan z zastanych haków. Zmieniamy się na prowadzeniu – tak już będzie do końca dnia. Mimo pierwotnego założenia żeby każdy z nas prowadził jedną drogę w całości, nowa taktyka zdaje się przynieść lepsze rezultaty. Szczególnie w miejscach niewygodnych stanowisk, gdzie przemieszczanie się jest utrudnione, a splątanie liny jest wielce prawdopodobne. Paweł dochodzi do bloku pod płytami z trawą. Dalej znów idę ja. Zakładam dwa przeloty na łatwym wyciągu – wystarczy, byle były solidne. Za płytami trudniejsza rysa przed kominkiem. Paweł w trudnościach asekuje się gęsto, gdzie łatwiej, zostawia skałę w spokoju. Ze stanowiska na kazalnicy, przy połączeniu z drogą Świerza widać już szczyt. Stąd idę na całą długość liny, jak się skończy Paweł podejdzie – uczuła mnie na zakładanie 'atomowych punktów' w takich sytuacjach. Nie szarżuję. Idziemy szybko, ale przede wszystkim zdecydowanie i pewnie.

Na szczycie zakładam szybko stan na bloku, krzyczę w dół że asekuje. Przy kolejnych lotnych wyciągach, już nawet to nie będzie potrzebne, ustala się pewna procedura, którą oboje dobrze znamy. Wybierając linę patrzę w dół Doliny Jaworowej. Gęste chmury płyną jej dnem sącząc się od północy i dźwigając powoli w górę. Jaworowa ciemnieje, Główna Grań Tatr od strony Jaworzyny i Polski pokrywa gęsta maź szarych chmur. Słońce odciska na nich tęczy otok, chcę go dosięgnąć żeby zobaczyć na nim swój cień, ale nie mogę się wychylić, bo trzyma mnie zbyt krótka autoasekura. Wołam w stronę Pawła czy widział już widmo brockenu i ile razy. Odpowiada że raz, i dalej już nieco innym językiem niż ten którym to opisuję, że nie ma czasu na takie estetyczne wzruszenia. Mimo to, gdy mój partner jest już przy mnie, udaje mi się jeszcze wychylić na północną stronę i uchwycić ostatnie majaki widma ... Mówię że to dobra wróżba.



Zjazdy nas niepokoją. Od początku stawiały nas przed dylematem jakiej liny używać i po ile metrów zjeżdżać. Ostatecznie wzięliśmy 60 metrów połówkowej. Dochodzimy do nieco ukrytego stanowiska zjazdowego, z którego wcześniej nie korzystaliśmy. Proponuję by zjechać 30 metrów, żeby szybciej przejść do następnego zjazdu (którego też nie znamy, którego umiejscowienie przypuszczamy). Chwila wahania, i Paweł przystaje na ten pomysł. Zjeżdżam jako drugi i ściągam linę. W tym czasie Paweł znajduje kolejne stanowisko. Z niego robimy już 60 metrowy zjazd, aż do stanowiska na płytach, z którego opuszczamy się kolejne 50 metrów, aż do podstawy ściany. Ten sam patent zjazdowy zastosujemy też za drugim razem. Okazuje się dość szybki – zajmuje nam 40 minut. Paweł patrzy na zegarek – razem ze wspinaczką potrzebowaliśmy na to 2 godziny 20 minut. Ruszamy pod kolejną drogę. Spotykamy dwóch rodaków, udających się na dopiero co przez nas skończone wyciągi. Chwilę rozmawiamy, jemy, pijemy, no po prostu – biesiadujemy.

Godzina 10. Zaczynam drogę Motyki na płd-zach ścianie Ostrego Szczytu. Na pierwszej długości liny podchodzę aż pod 'jaskinki' – właściwie kociołki skalne pod dużymi przewieszkami. Znów słońce jest przy nas, dopieszcza, dogrzewa – aż za dużo (windstwier moknie od środka) Piękny, drugi wyciąg do wiszącego stanowiska na płycie prowadzi Paweł. Zazdroszczę mu prowadzenia i cienia który go osłania przed palącymi promieniami.



Z płyty przewijam się poza załom i znikam z oczu mojego partnera. Trawers którym się posuwam, jest nietrudny ale eksponowany, doprowadza do płytowej depresji. Ta z kolei wyprowadza na podszczytowe trawniki. Z nich Paweł gna do szczytu, po raz drugi. Patrzę na szybkość z jaką ubywa liny, mówি o tym jak łatwy jest teren, trzy metry przed jej końcem likwiduję stanowisko, podążam na wierzchołek. Znów po ruchach liny czuję moment w którym Paweł mnie ściąga, kiedy ma już stanowisko, wtedy idę spieszniej, mniej uważnie. Tym razem zjazdy zabierają nam już tylko 25 minut (z drogą 2h). Paweł ma nawet ochotę na próby bicia rekordów w zjazdach z Ostrego Szczytu, ale w tym dniu, nie będziemy już tego ćwiczyć. Zostawiamy liny i szpej, idziemy pod start dróg na Oстрыm, jemy i pijemy (nasi koledzy są na drugim wyciągu pierwszej z naszych dwóch dróg). Zabieramy plecaki, podchodzimy do żlebu spod Zbójnickiej Ławki.

Koło 13.15 rozpoczynam zmagania z najdłuższą i najtrudniejszą drogą jaką dziś mamy zrobić. Skwar jest dojmujący. Przezornie zostawiłem polar w plecaku. Według meteorogramu, który dokładnie oglądałem na ten dzień, jak i według wszelkich znaków na rozpalonym niebie, burza dziś nam nie grozi. Słońce idzie wraz z nami już od samego rana, przesuwając się w tą samą stronę co my, jakby chciało nam rozjaśnić każdą szczelinę w ścianie, jakby miało za cel doprowadzić do przegrzania naszych organizmów. Dziwię się po raz kolejny, jak Staszek Motyka szedł tędy ponad 80 lat temu? Drogę tą wytyczył tydzień po tej na pół-zach ścianie Ostrego, w lipcu 1932 roku.



Pierwszy wyciąg prawie nie możliwy do asekuracji. Jeden hak wbity dość nisko na początku trudności, i dalej płytowe wymycia, w których nic nie można założyć. Kolejna długość liny – nie mniejszej urody, szczególnie przewinięcie między przewieszkami na 'gołą' płytę. Za nią znowu zmiana prowadzenia, jeszcze jedno sprytnie przewinięcie między odpychającą ścianką a przewieszką, łądy kominek i kolejne stanowisko z ringów, które skwapliwie omijam (jest zbyt blisko poprzedniego, a liny mam aż nadto). Wychodzę na lewo pod dość męczącą ścianką, na której spędzam kilka minut medytując. Paweł znając już moje zachowania, nie chcąc dopuścić do zmiany decyzji z mojej strony, przynagla mnie do odważnego ataku. Osiągam w końcu stan umysłu pozwalający mi osiągnąć półkę nad ścianką, gdzie robię stanowisko z zastanych haków.

Większe trudności za nami. Paweł przewija się za filarek z prawej i wciąż w pewnej, litej skale, dochodzi do stanowiska pod szczytowymi trawnikami. Stamtąd ruszam już ja, idąc III-owym terenem do końca liny, i dalej z lotną pod wierzchołek. Ściągam do siebie partnera, jednocześnie ściągając buty, i dając odpoczynek zmęczonym stopom. Po raz ... nie wiadomo który tego dnia, zwijamy liny, zachwycamy się drogą, uznając ją za najładniejszą z dróg Motyki, a wreszcie wychodzimy na szczyt, rozglądając się za zejściem ku Zbójnickiej Ławce. Na grani Ostrego Szczytu słyszymy i dostrzegamy spotkanych rano kompanów, zjeżdżających pod ścianę. Paweł po raz pierwszy mówi z uśmiechem: „- Może nam się to uda”. I to nie jest zdanie pytające. Odpowiadam ze słabo udawaną obojętnością: „- Ja na razie nic nie mówię”. Ale kiedy wcześniej symulowałem gdzieś w myślach przebieg tych wspinaczek, to zawsze uważałem że po tej drodze, jak będzie nawet godzina 18, to już dwie ostatnie zrobimy na pewno. Tymczasem jest 15.30. Zejście do plecaków przez Harnaskie Wrótka zajmuje nam piętnaście minut. Dość szybko trafiam na jego przebieg, Wyszukanie tej opcji zejścia uznaję za największy logistyczny sukces tego

przedsięwzięcia. Pozwalamy sobie na dłuższą sjęstę, przełykając milcząco, wraz z kęsami kabanosu słodkie kęsy 'sukcesu'. Przerywam głośno tę słodką glorię w której się pławimy, bezpardonowym przywołaniem siebie i Pawła do uwagi i koncentracji.



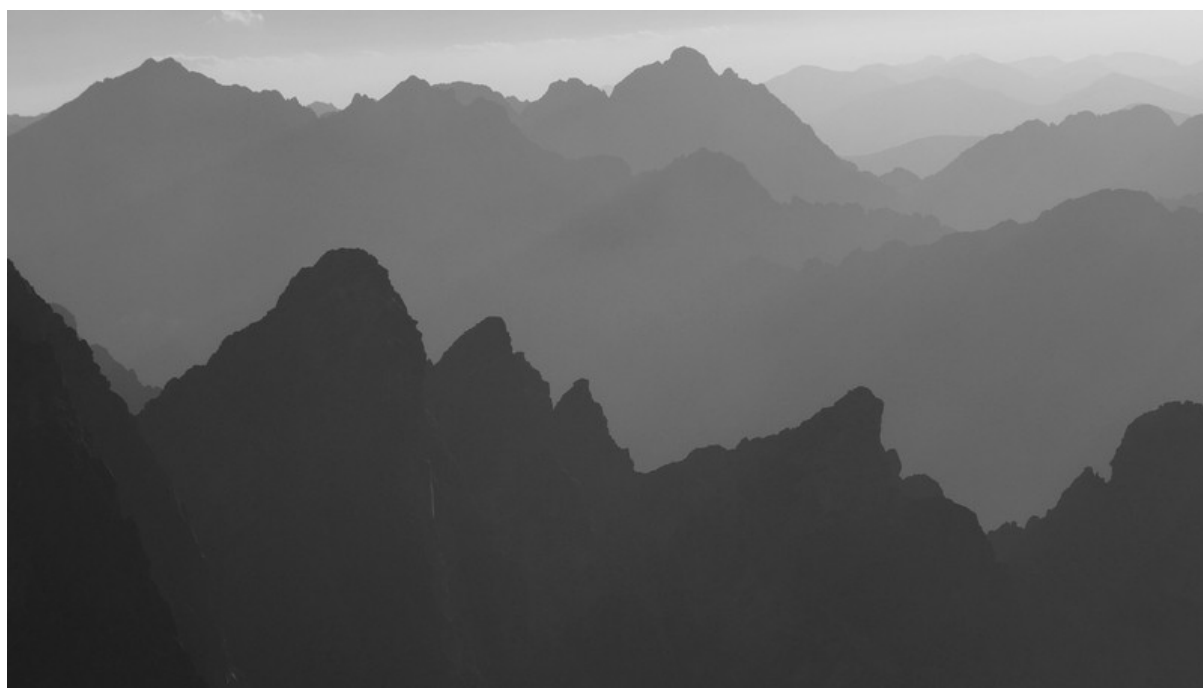
Po 16 Paweł zaczyna drogę zachodnim filarem Małego Lodowego Szczytu. Słońce jest już słabsze, ale wciąż intensywne, świecąc coraz łagodniejszym światłem, kładzie się nieco delikatniej na plecach Pawła i moim piekącym karku. Jego lekko pomarańczowy odcień, wyluskujący najpiękniejsze barwy granitu przed moim wzrokiem, uzmysławia mi, iż cały dzień podążało wraz z nami, że wybór tych dróg współgra (zupełnie przypadkowo) z rytmem jego sierpniowych promieni. Skala wciąż lita, płytowa, w innym odcieniu od tej z południowych ścian, lecz równie przyjemna w dotyku i w tarcu. Po 40 metrach przed spiętrzeniem filara Paweł robi stanowisko. Wyżej filar się dźwiga do pionu, jest piękny, przechodzi w rodzaj ostrej grani i kumuluje w turni zwanej Zębem Motyki. Za nią w siodełku na wypłaszczeniu, ściągam do siebie partnera. Stąd on pójdzie do szczytu, do końca liny, tak jak mamy to przećwiczone w łatwym terenie, ale bez harców, rozsądnie, nie zuchwale, ale i nie tchórzliwie. Nawet ten stosunkowo łatwy wyciąg, jest piękny, Krótka urokliwa płyta tuż pod szczytem, wywołuje uśmiech na mojej twarzy. Mimo całego dnia wspinaczki, wciąż cieszy serce i dłonie, granit niezwyklej urody, jego forma i kształt, jego sprzyjająca tarcu struktura. Kolejne szczytowanie, niezliczone już zwijanie liny, przebieranie butów, zejście pod następną drogę. Nie posilamy się już, do plecaków zejdziemy po skończeniu ostatniej drogi.



Słońce podkreśla linię drogi którą mamy przed sobą, intensywnie nasyconymi kolorami późno popołudniowych promieni. Jest godzina 18. Rysa przed Pawłem jest wyrazista i strzelista. To czego brak tej zachodniej ścianie, czyli dużego przewyższenia, kompensuje urok granitowej formacji. Motyka niewątpliwie miał talent w wynajdywaniu tatrzańskich rarytasów i pięknych linii. Tą i pierwszą ze zrobionych przez nas dróg, Motyka przeszedł w odstępie trzech dni 1934 roku. Z przyjemnością i zazdrością o prowadzenie, patrzę na ruchy Pawła, jak 'wężowato' płynie wzdłuż rysy do góry, pod przewieszkę, do nyży, aż znika na niewidocznym stanowisku. Z niecierpliwością wpijam się w skałę, garnę się do góry, a każdy ruch napawa radością, przynosi błogość z pokonywania przestrzeni, ulgę we wznoszeniu ... Za nyżą wciąż pięknie, wciąż rysa, cieńsza, na płycie w brzydszym odcieniu, ale bez ujmy dla wspinaczkowej urody. Przychodzi moja kolej, prowadzę dziewiętnasty wyciąg, ostatni. Ostatnie promienie idą wraz z Pawłem do szczytu. Za nim dostrzegam cień żlebu ze Zbójnickiej Ławki, jakby go łapał za nogi, ale Paweł będzie szybszy od niego. O 19 gratulujemy sobie ... być może najpiękniejszego z naszych dni tatrzańskich.



W zmęczeniu, ale i w jakiejś podniosłości, po raz trzeci dzisiaj, deptamy skały Harnaskiego Kotła. Spostrzegam że znam je dziwnie dobrze, zdarza mi się stąpać po tych samych co wcześniej. Witamy te same głązy co kilka godzin temu, i one nam odpowiadają, spokojem, statecznym podziwianiem ... piękna wokół rozłożonego, szczytowania majestatycznego. Strzeleckie Spady nużą w zejściu, usypiają. Nawet kierdel kozic przed nami nie rozbudza, nie wzrusza, tylko szorstki granit wciąż tkwi na opuszkach palców, przetacza się pod skórą ... łagodzi tym pulsowaniem całe nasze strudzenie.



Horarium:

07.10 – 08.40 droga Motyki na południowej ścianie Ostrego Szczytu (WHP 2432) - 5wyciągów

10.00 – 11.50 droga Motyki na pd.-zach. ścianie Ostrego Szczytu (WHP 2434) - 4 wyciągi

13.15 – 15.30 droga Motyki na południowej ścianie Małego Lodowego (WHP 2487) - 5 wyciągów

16.00 – 17.30 droga Motyki na pd.-zach. ścianie Małego Lodowego (WHP 2494) - 3 wyciągi

18.00 – 19.00 droga Motyki na pd.-zach. ścianie Małego Lodowego (WHP 2485) - 2 wyciągi

